

Notatki spod Monte Cassino

Józef Poniatowski

Fragmenty pamiętnika z lat wojennych, opracował Florian Śmieja.



Józef Poniatowski na Bliskim Wschodzie,
fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana
Śmiejów.

[...] Staraliśmy się o ten wyjazd od kilku tygodni. Mieliśmy wyjechać 8.V., ale potem przyszło zarządzenie, podobno generała Andersa, żebyśmy przyjechali 13-tego, bo akcja zacznie się 15-tego.

Wyjechaliśmy tedy w sobotę i koło 10 rano znaleźliśmy się w II rzucie Korpusu, o 2 km od Venefro, w Sekcji Polowej Propagandy i Kultury. Zameldowaliśmy się u

ppłk. Michniewicza. Przyjął nas uprzejmie, wyjaśnił bardzo ogólnikowo sytuację i nieco zmroził wiadomością, że gen. Anders nie tylko nie chce teraz zajmować się prasą czy korespondentami, ale jest przeciwny jeżdżeniu do oddziałów. Okazało się ponadto, że jest to skutek niepowodzenia w pierwszym natarciu.

Mamy pojechać do punktu opatrunkowego. Wita mnie kierownik punktu, porucznik-lekarz K. Opowiada, jak piekielną mieli robotę przez parę poprzednich dni. Przez ich ręce przeszli prawie wszyscy ranni Korpusu – ponad tysiąc. Było po kilkadziesiąt operacji dziennie. Prawie każdy potrzebuje co najmniej transfuzji krwi. Na trzy dni przed natarciem, Niemcy ostrzelali ich punkt zabijając dwóch lekarzy i kapelana. Stali wtedy o 3 km dalej, już blisko dolnego końca Inferno, ale po tym wypadku musieli się przenieść. Dr K. przyznaje, że nie jest pewne, czy Niemcy chcieli trafić w szpital. Wisiała wprawdzie wielka płachta z czerwonym krzyżem, ale była dość wyblakła, a wąż ostrzeliwują stale, bo wiedzą, że to ważna droga komunikacji. Przy tym, o parę godzin wcześniej udało im się „zmacać” i zapalić znajdujący się opodal skład amunicji.

W czasie naszej rozmowy, przysłuchujący się początkowo kapitan o okrągłej twarzy, odchodzi na bok, zakłada stulę i udziela ostatnich Sakramentów leżącemu obok rannemu. Potem zdejmuję stulę i wraca do nas. Mamy wracać, ale czekamy pół godziny, ruch pod górą wciąż zamknięty.

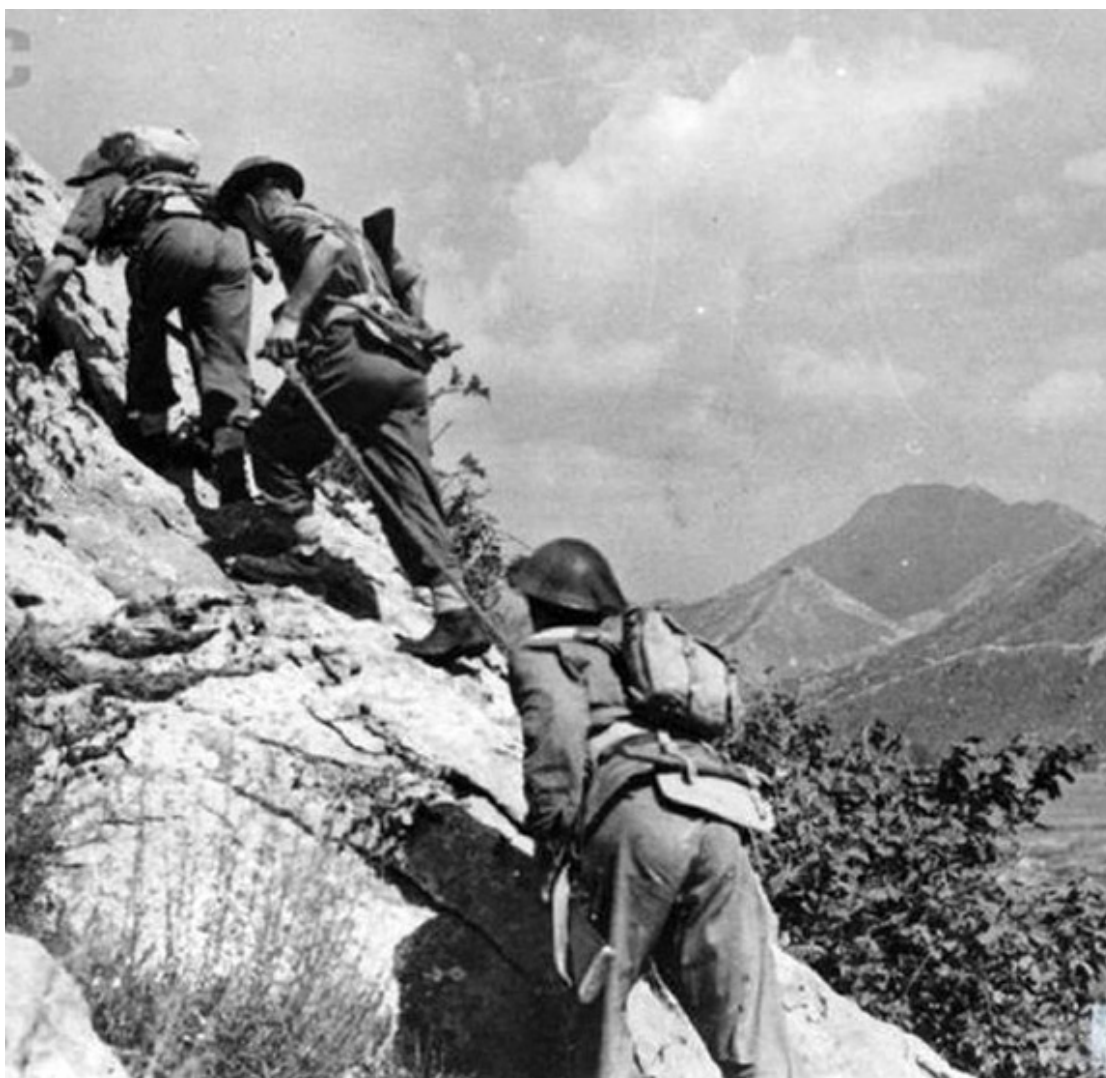
Nam radzi pułkownik udać się przed północą z mułami niosącymi prowiant do 16. baonu, nie ma nic przeciw temu, żebyśmy dotarli do którejś z leżących na linii kompanii, Mułów jest kilkadziesiąt, wszystkie objuczone, poganiacze Cypryjczycy, podobno doskonale pracują, nasz oficer i dwóch żołnierzy. Noc ciemna, księżyc wszędzie za parę godzin. Rozświetlają ciemności tylko błyski wystrzałów i wybuchów, czasem przetnie niebo łuk świetlnego pocisku. Ogień zresztą nie jest zbyt gęsty i nadal trudno zrozumieć, kto i do kogo strzela. Zdaje się, że to tzw. ogień nękający – dwie strony kładą wiązki pocisków tu i tam, zwłaszcza gdzie znając teren przewidują bądź nieprzyjacielską baterię, bądź skupienia ludzi czy transporty.

Idziemy jeszcze kilkaset kroków drogą w lewo, ku dolinie Maioli. Potem skręcamy od niej ścieżką wspinającą się zboczem na wzgórze Castiglione. Tempo marszu dość szybkie biorąc pod uwagę ciemność, pod górę i ciągłą potrzebę wyplątywania nóg

lub głów z drutów telefonicznych. Czasu tracić nie należy bo jednak co noc na tych ścieżkach muły i ludzie giną, o czym świadczy dość często straszliwy zapach padliny. Palić tu już nie wolno, hałasować – jak najmniej. O kilka metrów przed tą zachodnią krawędzią, zresztą dość łagodnie zbiegającą ostatnie dwa schrony, już najbliższe nieprzyjaciela wyjątkowo zakryte i z góry, z jednego z nich wyłazi kpt. Biegunowski, zastępca dowódcy batalionu, przebywający od paru dni z 2. kompanią

Kompania leży tu trzy dni. Zapytuję kapitana o warunki. Nie mają ze sobą ani koców, ani płaszczy. Spać w tych warunkach może tylko ten, kto już potwornie zmęczony. Prowiant przywożą w nocy mułami do batalionu, stamtąd – na ramionach. O ciepłej strawie nie ma mowy, o wodzie do mycia – również. Pytam, czy te przypadkowe strzelaniny, tam i ówdzie padające pociski nie dały się we znaki, czy też kogo z kompanii uszkodziło. „Proszę zobaczyć” , odpowiada po prostu kapitan. Prowadzi mnie o 20 m w lewo od swego schronu: półotwarte stanowisko, na środku mała grządka zruszonej ziemi i kamieni, zatknięty nawet jakiś krzyżyk, o ile dobrze dojrzałem... „Tu spoczywa podchorąży i strzelec, siedzieli w tym schronie, pocisk trafił sam schron, nie było co ratować”. Idziemy o kilkadziesiąt metrów w tył. Kapitan szuka węchem i dotykiem i łatwo znajduje. „Tu także pochowaliśmy dwóch, ale to o dzień wcześniej od tamtych”. Trzeci grób widziałem na wstępie do kompanii. A więc w ciągu trzech dni bez większych działań, w oczekiwaniu, na odcinku podobnym do innych, kompania miała 5 czy 6 zabitych nie licząc rannych. Najbardziej uskarżają się na moździerz. Ale w dzień dają się także we znaki niemieccy strzelcy wyborowi.

Oprowadza nas po terenie swej kompanii i zarazem opowiada. Po żołniersku, po prostu. Bierze mnie coraz większy dla tych ludzi podziw. Pytam, czy zmęczenie i stałe napięcie nerwów nie odbiera im zdolności do walki, czy nie łudzą się, że po paru jeszcze takich dniach ktoś ich złuży i pójda na wypoczynek, czy rozumieją, że to dopiero wstęp, że przyjdzie największy wysiłek, w którym na nich właśnie przypadnie rola natarcia. To wszystko dobrze wiedzą. Wiedzą, że zadanie przez ich poprzedników przed paru dniami wykonane nie zostało, więc musi być wykonane przez nich. Spodziewają się każdej nocy rozkazu nacierania na Widmo i dalej na San Angelo. Nastrój twardego realizmu, coś wręcz przeciwnego do „słomianego ognia”, o który tak często i chyba niesłusznie jesteśmy pomawiani.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-640-6, za pinterest.

Pomimo ciemności, horyzont rysuje się dość ostro, widać powyginaną linię wzgórz. Kapitan wyjaśnia: Maiola i ten grzbiet za nią, z naszej lewej strony – to region Karpackiej. Lewa krawędź tego grzbietu, za siodłem – to Monte Cassino, a to najwyższe wzniesienie na prawym końcu – to 593. Między nim i dalej w prawo, już przed nami położonymi San Angelo, 593 i in., w przedłużeniu Maioli to Gardziel Śmierci. W tym samym kierunku leży Masseria Albaneta – ruina pośrodku dolinki łączącej rejony działania obu dywizji. Jeszcze sporo w prawo wznosi się Monte Cairo, ale szczytu z powodu ciemności nie widzimy. Zupełnie już po prawej ręce leży Castel Belmonte, a już prawie z tyłu – Cifalos, skąd właśnie teraz strzela niemiecka artyleria. Ogień stamtąd najbardziej zdeprymował nasze bataliony 18 i część 13 na Widmie tragicznej nocy 11/12 maja, bo chłopcy myśleli, że są pod własnym ogniem.

Rzeczywiście, ogień artylerii, co prawda niezbyt gęsty, słyszymy ze wszystkich czterech stron. Z jednej własny, z trzech – nieprzyjacielski. Przypomina mi się bitwa pod Świszczowem w końcu lipca 1920 r., gdy także ogień był naokoło, ale tam rzeczywiście trzeba się było przemykać i wyslizgiwać będąc wewnątrz przeważających sił nieprzyjacielskich.

Jest już prawie pewne, że tej nocy zacznie się natarcie Rzeczywście o 6. zaczyna się koncert, Muszę jednak przyznać, że przynosi mi trochę rozczarowania. Spodziewałem się więcej. Uprzedzano mnie wprawdzie, że na skutek interferencji fal głosowych huk jest mniejszy niż wynikałoby z dodawania wszystkich jego źródeł, ale przypuszczałem, że przynajmniej jest zupełna ciągłość huku, że nie będzie w nim przerw. Jakkolwiek nerwy były napięte przez samą świadomość, że oto o kilka kilometrów już się toczy walka na śmierć i życie, straszliwa próba naszego Korpusu, od której zależeć może jego sława i uzyskanie nowego atutu dla sprawy polskiej, ale też i utracenie na długo zdolności bojowej – zapowiadało się na razie, że ten dzień będzie osobiście dla mnie prawie zmarnowany. Widoku z tej grupy schronów rozrzuconej w w obszernym gaju oliwnym – żadnego, zresztą wiadomo, że i dalej go nie ma, bo wszystko zadymione. Już znacznie wcześniej przyszła wiadomość, że jeszcze w czasie nawały artyleryjskiej, zaraz po 7 rano Kresowa zdobyła nie tylko resztę Widma, ale o wiele ważniejsze Colle San Angelo, jedną z pozycji kluczowych.



Melchior Wańkowicz, korespondent wojenny 2 Korpusu Polskiego Melchior Wańkowicz (1. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, na szczycie „Widma”. W tle Monte Cairo, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

W miarę jednak upływającego czasu nastroje wyraźnie rzedły, chociaż nic konkretnego nie mówiono. Dowiedziałem się, że najciekawiej jest siedzieć w schronie podsłuchu radiowego i tam też przeważną część dnia spędziłem. Zostałem tam już Wańkowicza, który mając niezawodny instynkt dziennikarski utknął w tym podsłuchu od rana, siedział kamieniem pilnie notując. To słuchanie jest rzeczywiście fascynujące, ale mimo bardzo jeszcze dobrego tonu czołgistów wyczuwało się wyraźnie, że optymizm poranny był trochę przedwczesny. Koło południa Niemcy odebrali San Angelo, po paru godzinach nasi znowu tam częściowo wleźli, ale oczyszczenie wzgórza się nie udawało, straty od moździerzy były coraz większe, Karpacka też nie mogła ruszyć dalej. Batalion 6 majora Różyckiego dotarł na 200 m od Albanety i dalej nie mógł się ruszyć. Płynęły długie godziny bez oczekiwanego sukcesu. Przychodzi zapowiedź: o godz. 13.40 piechota rusza do natarcia na Albanetę, tymczasem okazuje się, że w ogniu nie może się ruszyć. Staje się

konieczne przybliżenie jeszcze tych paru czołgów nie mogą się ruszyć, bo przed nimi kilkudziesięciometrowy pas gęsto zaminowany. Saperzy z początku oczyszczali przejście, ale zrobił się taki ogień, że leżą pod czołgami i nie chcą wyjść. Przez dobre pół godziny trwa wymyślanie na tych saperów, bo od oczyszczenia drogi dla czołgów zależy bardzo dużo, przecież Albaneta to pępek niemieckich pozycji. Słyszę rozkaz Drelicharza: „Ruszcie czołgiem, żeby wystraszyć tych sukinsynów, że ich przejedziecie”. Po chwili meldunek: „Ruszyliśmy, ale ci spryciarze powłazili pod stojący obok czołg z urwaną gąsienicą. Ich dowódca ppor. C. powołuje się na rozkaz pułk. S., że saperów należy oszczędzać. Nic, tylko wziąć kija i wyganiać te cholery”. „Strzel mu w łeb lepiej, to inni wyjdą”. O ile mi wiadomo, to zwrócono się wreszcie zupełnie poważnie do gen. Ducha o zezwolenie na zastrzelenie oficera dowodzącego saperami. Zezwolenie zostało podobno udzielone, ale zanim z niego skorzystano wyjaśniło się, że czołgiści trochę przesadzali, bo siedząc w czołgach nie doceniali bardzo silnego ognia moździerzy i spandauów uniemożliwiających pracę saperów. Ci ostatni próbowali pracować, ale co który głowę podniósł – strzelcy wyborowi nieprzyjaciela widocznie także rozumiejący sytuację, brali go na cel. Paru dostało, trudno się dziwić, że reszta wołała się chować.

Ku wieczorowi zaczęły napływać wiadomości o śmierci wyższych oficerów, Jurny nastrój czołgistów też zaczął nieco opadać. Czuć było zmęczenie, nawet w głosie Drelicharza (nazajutrz został ranny). Brakło im amunicji, mieli już kilku rannych, praca w nieustannym ogniu wyczerpuje. Wezwano z tyłu inny szwadron na zmianę, ale Drelicharz wybłagał, by go nie wycofywano – chce doprowadzić swe zadanie do końca.

Na wieczór zaczęło się wszystko uspakajać bez rozstrzygającego wyniku dla którejkolwiek strony. Widmo było nasze, ale San Angelo i 575 m na odcinku Kresowej, a 595, 567 i Albaneta na odcinku Karpackiej pozostawały częściowo lub w całości w rękach Niemców. A nasze straty już były ciężkie i zmęczenie żołnierza – potworne.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-645-2, za Pinterest.

Nazajutrz obiecywałem sobie od wczesnego rana siedzieć na podsłuchu. Tam przybyliśmy o 10.20 – prawie o tej samej właśnie minucie gen. Anders otrzymał meldunek, że przed paru minutami patrol 12 pułku ułanów wszedł do klasztoru Monte Cassino. Okazało się także, że w nocy i nad ranem wzięto Albanetę, 595 i 567. W chwilę potem widzieliśmy gen. Andersa udającego się na nabożeństwo, które z tego tytułu zarządził.

Koło namiotu ppłk. Michniewicza spotykam go wraz z ppłk. Bąkiewiczem i dowiaduję się od nich, że za chwilę jedzie do zdobytego klasztoru grupa amerykańskich dziennikarzy w towarzystwie polskich oficerów. Błagam, by mnie przyłączyli. Ppłk. M. powiada, że nic nie ma przeciw temu, ale muszę się starać o samochód. .

Wyruszyliśmy po 1. Było z dziesięciu, a może i tuzin Amerykanów, z nimi ppłk. Bąkiewicz, paru oficerów informacyjnych, z prasy Bau, Mossin i ja, filmowcy: Jaszczyński, Bazarowski, jeszcze jakiś jeden major z kilku żołnierzami i chorągwią do wy(*nieczytelne*) klasztorze, jeden kapelan i ktoś tam jeszcze.

Dojechaliśmy do tzw. car-parku – po prostu łączka u podnóża góry. Dalej idzie już tylko wąska i trudna ścieżka pod górę do drugiego, górnego car-parku. Ruch na niej, oczywiście, jednostronny, a właśnie w dół prowadzą wziętych w klasztorze jeńców: trzy partie po dziesięciu. Młodzi chłopcy, bardzo widocznie zmęczeni, zarośnięci, sami spadochroniarze. Podobno w nocy ponad stu wyszło z klasztoru, który już był odcięty i poszło poddać się Anglikom, by nie dostać się w polskie ręce.

Poszli, ale naszych łazików nie puszczają. Decydujemy się iść pieszo. Droga ciężka, coraz to trzeba wymijać to łaziki, to grupy robotników włoskich, to patrole sanitarne, to niosących nosze z rannymi, albo trupy owinięte w koce. Trupy leżą także od czasu do czasu, o ile są owinięte, to wyglądają jak jakieś na pocztę przygotowane przesyłki, tylko buty z jednej strony sterczą. Gorzej gdy (*nieczytelne*) owinięte, albo nawet przykryte, bo wówczas rozkładają się i strasznie pachną.

Ścieżka – już wyłącznie dla pieszych i może od biedy mułów, nieco powraca, potem skręca przez siodło w lewo i znowu się podnosi. Jesteśmy tu już na terenie, który nieprzyjaciół może obserwować i ostrzeliwać. Pada zarządzenie, żeby iść w odstępach dwudziestu kroków jeden od drugiego. Mijamy nieco krzaków, widzimy już klasztor, a raczej jego ruinę, wyjątkowo nie zadymioną, tak blisko, jak jeszcze się tej groźnej kupy gruzów nie widziało. Ścieżka zwraca jednak jeszcze w prawo, biegnie równolegle z krawędzi, za którą leżą miski Maioli, aż osiągamy wielki murowany budynek słynny z czasu walk Karpackiej „Domek lekarza”, uwija się trochę ludzi, a przed domkiem leży przy ścieżce rzędem pół tuzina trupów z niezaskłanymi twarzami.

Za laskiem droga dość stromo się podnosi – to już wejście (*nieczytelne*) Monte Cassino. Nad nami wznosi się imponująca ściana stosunkowo mało naruszona – to jedyna ocalała północna ściana klasztoru.

Pnę się na wzgórze i sapiąc spotykam gdzieś w połowie wzgórza na kilkadziesiąt metrów przed murem – Wańkowicza. Nie jestem jego adoratorem, złości mnie jego

blaga i interesowność, kłóciliśmy się często o sprawy redakcyjne, aż się prawie obraził – a jednak przyznać muszę, że tym razem opanował mnie podziw, jak poprzedniego dnia na widok tych żołnierzy wnoszących na górę żywność i amunicję. Z jego tuszą i w jego wieku, to naprawdę wyczyn sportowy.

Ścieżka wzdłuż ściany wyprowadza nas na zasypany gruzami plac zachodniej strony klasztoru, gdzie grzbiet jest najłagodniejszy. Sterczy tam jeszcze kilka pni drzew i ruiny jakichś zabudowań. Klasztor od tej strony wygląda opłakanie – potworne rumowisko. Po lewej stronie wejście do jakiegoś tunelu, zapewne niegdyś po prostu korytarza. Stoi tam paru naszych saperów. O parę kroków przed kupą jakichś gruzów pomieszanych z puszkami od konserw itp. – coś się żarzy. Zapytani saperzy wyjaśniają, że to jeszcze Niemcy zapalili.

Patrol z chorągwią musi się wydrapać na szczyt rumowiska, by zawiesić chorągiew na którymś z najwyższych punktów. Drapię się za nimi, co jednak nie jest łatwe, ani całkiem bezpieczne, bo trzeba się dostawać po stromych i wciąż usuwających się pod nogami gruzach, a ponadto nikt nie wie, czy teren nie jest zaminowany. Toteż z całej grupy liczącej ze trzydzieści osób wydrapało się na górę zaledwie siedem-osiem. Spośród Amerykanów widziałem na górze dwóch, Bau i Mossin zostali na dole, Wańkowicz, oczywiście, także... Samo zawieszenie chorągwi polskiej, a obok, ale trochę niżej – brytyjskiej odbyło się właściwie bez żadnej uroczystości, nikt nawet nie krzyknął „Baczność”.

Widać z góry dobrze obszerny arkadowy dziedziniec wewnętrzny, poważny i harmonizujący, ale mocno zniszczony. Figura założyciela klasztoru i zakonu, św. Benedykta, stoi żałośnie na ziemi bez głowy i ręki. Na przeciwległej ścianie – mały proporczyk ułanów, którzy pierwsi tu weszli. Poza tym – gruzy, gruzy, gruzy.

Zastanawiałem się, jak się to stało, że pomimo wszystko taki zwykły murowany, choćby i solidnie, budynek mógł choćby w stanie zburzonym uchronić załogę zarówno w czasie tylu ciężkich bombardowań lotniczych (*nieczytelne*) artyleryjskich. Jak nazajutrz zeznawał dca załogi, Niemcy prawie nie mieli tam strat od ognia.

Na dole zastałem zaledwie kilka osób. Część już pomaszerowała z powrotem, gdy byliśmy w klasztorze, jakiś pocisk padł przy ścieżce, którą niedawno przechodziliśmy, a ponadto odgłosy walki artyleryjskiej od północy jakoś się ożywiły i

ostatecznie nikt dobrze nie wiedział, kto skąd i do kogo strzela.. Nie widziałem także Baua i Mossina, którzy, jak się potem okazało, chodzili jeszcze po różnych wewnętrznych zakamarkach. Sądząc, że już poszli, a będąc z nimi związany wspólnym łazikiem, musiałem się spieszyć. Poszedłem więc tylko jeszcze wzdłuż głównego korytarza, u wejścia do którego żar jeszcze nie wygasł, zajrzałem do jednego z bocznym zakamarków i wycofałem się. Słyszałem, że w jednym z bocznych korytarzy siedzą trzej ranni Niemcy jeszcze nie ewakuowani, ale nie mogłem się przemóc, by iść ich oglądać. Wziąłem spod muru klasztornej odłamek pocisku na pamiątkę i zabrałem się do powrotu.

Gdzieś na początku lasku spotkałem Baranowskiego, który mi powiedział, że czeka na resztę filmowców i że Bau i Mossin zapewne jeszcze nie wyszli. Nie chciałem już jednak wracać, by się nie rozminąć. Gdy szedłem ścieżką poprzeczną wzdłuż Onufrio - ogień się jeszcze ożywił, a trzy pociski padły o kilkadziesiąt metrów poniżej podstawy klasztoru. Zauważyłem obok ścieżki bardzo rozłożonego trupa - jeszcze chyba Anglika lub Amerykanina sprzed nadejścia na odcinek naszych oddziałów. Kamienie ścieżki w wielu miejscach silnie pokrwawione. Gdy dochodziłem do „Bramki”, słychać było bliskie serie kmów. Tłumaczyłem sobie, że to nasi likwidują ostatnie pozostałe wzgórze 575, ale nie bardzo mi się to podobało. Odcinek pomiędzy Domkiem Lekarza a „Bramką” już nie tylko Amerykanie, ale i nasi żołnierze przebywali biegiem. Koło Domu Lekarza też jakiś ruch bardziej gorączkowy niż przedtem. I ta seria karabinów maszynowych jakby gdzieś o paręset metrów, w dolinie Maioli. Później się okazało, że kontrataku na Albanetę nie było, ale San Angelo, wbrew poprzednim wiadomościom, nie było jeszcze w całości zdobyte jak i 575, a więc bitwa toczyła się od naszej ścieżki chyba nieco ponad kilometr.

Zszedłem do dolnego car-parku koło piątej, a w kilka minut potem zjawili się także filmowcy oraz Bau i Mossin. W II rzucie zastałem Rubla, zadowolonego z trzydniowego pobytu w 1 pułku artylerii lekkiej. Przyniosłem przywiezioną z Neapolu butelkę whisky oraz zachowany z Campobasso kawałek wędzonki i z Wackiem, Bornholzem i Rublem popiliśmy nieco pod to całe piękne zwycięstwo.

Następnego dnia pojechaliśmy z Rublem do sztabu Karpackiej szukać okazji do jakiejś wycieczki. Szczęśliwie się udało, dostaliśmy łazika i pojechaliśmy obejrzeć pole bitwy na wzgórzu 598, zdobytym poprzedniego dnia rano, na parę godzin przed

klasztorem.

Tym razem udało się dojechać aż do górnego car-parku, co oszczędziło nam dużo zmęczenia i czasu, zwłaszcza że Rubel ma jedną nogę słabą (po złamaniu) i chorobę przestrzeni. Swoją drogą podziwiałem, jak łązik piął się po tej wściekle stromej serpentynie, ale się piął.



Kapral Emil Czech gra hejnał mariacki, ogłaszając zwycięstwo pod Monte Cassino, fot. Pinterest.

My tymczasem doszliśmy normalnie do „Bramki”, stamtąd ścieżką pod górę i niezadługo znaleźliśmy się pod grzebieniem zza którego nacierali nasi ułani. Czuć tam było jeszcze silnie atmosferę niedawnej walki. Kamienie zarzucone częściami umundurowania, odłamkami pocisków i granatów ręcznych, gilzami, niewypałami,

częściami broni. Tu i ówdzie leżało jeszcze kilka trupów. Oto dwaj nasi żołnierze spaleni przez leżący obok, już zniszczony, niemiecki miotacz płomieni. Jeden leżąc szczerzy z wypalonych ust złote zęby, drugi, prawie na czarno zwęglony, pół siedzi w jakimś strasznym skurczu. A oto pokazują tzw. bunkier niemiecki. Dziura w skale dość głęboka, przykryta zo(*nieczytelne*) tylko szczelina szerokości 20-30 cm, ale skierowana ku górze. Żeby z tego strzelać, trzeba wyleźć, albo co najmniej mocno się wychylić.

Ze wszystkiego widać, że tu, gdzie stoimy, musiała się odbywać rzeczywiście walka prawie wręcz, na niezmiernie bliską odległość. Po ziemi leżą liczne zawleczone od ręcznych granatów - rzucanych przecież nie dla ćwiczenia. Oglądamy szereg stanowisk, gdzie leżeli Niemcy, gdy już nasi zajęli sam szczyt - są to wnęki może o metr lub dwa za krawędzią skalną okalającą szczyt, a więc o kilka lub kilkanaście metrów od stanowisk, gdzie już byli nasi. Jedni leżeli po jednej, drudzy po drugiej stronie wysokiej na kilkadziesiąt cm krawędzi i rzucali do siebie granatami nie mogąc się podnieść, bo każde wychylenie się oznaczało śmierć.

A za krawędzią z prawej strony - dość stromy spadek w dolinę pośrodku której bieleje spora ruina obok której stoi parę unieruchomionych czołgów - to właśnie Masseria Albaneta, klucz całej pozycji. Oczywiście, łatwo powiedzieć: klucz, ale przecie nikt by się tam długo nie utrzymał mając nieprzyjaciela na 593 i na San Angelo widocznym z drugiej strony. A więc kluczem są te trzy punkty łącznie, czy też dla otwarcia tej górskiej bramy potrzebne są trzy klucze. Ale zdobywanie Albanety, gdy jeszcze ani S. Angelo, ani 593 nie były opanowane w zupełności, to rzeczywiście, na oko sądząc, zadanie dla szaleńców. Dlatego tyle kosztowało i dlatego mogło się udać tylko pod osłoną nocy i czołgów.

Strzelanina już tego dnia była znacznie odleglejsza, dymy wykwiwały na zboczach Monte Cairo, gdzieś w kierunku Passo Corno - bardziej w lewo od Piedimonte.

Po długiej, żałosnej wędrówce dotarliśmy wreszcie do dolnego car-parku wyglądając jakiejś okazji. Tym razem udało się, bo nie wiadomo dlaczego dwaj Anglicy, którzy byli z nami, a zjechali w dół już przeszło godzinę temu, jeszcze nie odjechali i uprzejmie zaproponowali nam miejsce. Dowieźli nas do sztabu III dywizji. Tam zjedliśmy podwieczorek w towarzystwie gen. Ducha i ppłk. Piątkowskiego i

dostaliśmy łazika na dalszy powrót.

Nazajutrz kończył się nasz tygodniowy wypad. Rano pojechaliśmy jeszcze do I rzutu podziękować za opiekę i pomoc, na obiedzie spotkaliśmy majora Czapskiego i kapitana Gierata, którzy przyjechali osobowym samochodem i z nimi wróciliśmy bez przygód do Neapolu.

Józef Poniatowski (1897-1995) ekonomista, redaktor naczelny „Orła Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942-1944), Minister Spraw Krajowych w gabinecie dr Stanisława Ostrowskiego w Londynie.